

Ryszard Chrzanowski

Wspomnienia o doktorze Stanisławie Świerczewskim (1900-1959) z perspektywy jego pacjenta oraz na tle wydarzeń w Małopolsce

Acta Medicorum Polonorum 5/2, 49-63

2015

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Wspomnienia o doktorze Stanisławie Świerczewskim (1900-1959) z perspektywy jego pacjenta oraz na tle wydarzeń w Małopolsce

Memoirs about Dr. Stanisław Świerczewski (1900-1959) by his patient with the region of Małopolska as a background

Ryszard Chrzanowski (Cranovsky)¹

Lozanna, Szwajcaria

Przez wiele dziesiątków lat wspomnienia opisanych poniżej zdarzeń i osób drzeły w mojej pamięci, wypływając od czasu do czasu na powierzchnię podczas spotkań z rodziną lub z przyjaciółmi z lat młodości. Ścieżki mojego życia prowadziły jednakże stopniowo coraz dalej od skrawka rodzinnego kraju, gdzie spędziłem dzieciństwo i początek okresu dojrzewania czyli lata 1930-1946. Spotkania ze świadkami tego, co wydarzyło się w owych latach stawały się coraz rzadsze. Dramatyczne zdarzenia II wojny światowej i okresu powojennego były przyczyną przekształceń w rodzinnym Kraju, rozproszenia lub odejścia z naszego świata ludzi, którzy uczestniczyli w wielkim dziele rozwoju po odzyskaniu niepodległości, po okresie rozbiorów.

Szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że dane mi było doświadczyć, być skromnym świadkiem, tego jak odważne i światłe kierownictwo Ojczyzny prowadziło, dzieło przekształcania kraju, w większości rolniczego, w nowoczesne państwo przemysłowe. Odbywało się to pomimo wielu przeszkód i trudności okresu powojennego oraz światowego wstrząsu i załamania się ekonomicznego w roku 1929.

Dzięki Opatrzności mogłem przeżyć „czas niehumaniczny” II wojny światowej oraz okupacji. Na dalsze życie zabrałem bagaż wartości i doświadczeń z tej niezwyklej krainy położonej w regionie zbiegających się dwóch rzek: Dunajca i Białej. Kiedy postęp cywilizacji technicznej zamieniał ten kraj będący częścią dawnego zaboru austriackiego, czyli „ziemią ubogich i głodnych” według mniemania historyka Normana Daviesa, my młodzi pochłanialiśmy wiadomości i obrazy. Nowe i ciekawe było

¹ Member Global Virtual Faculty Fairleigh Dickinson University, New Jersey oraz RC-Consulting, Lozanna/Epalinges, Szwajcaria.

wszystko: o budowaniu fabryki i osiedli dla pracowników, o syntezie cennych związków chemicznych, o elektrowniach i zaporach wodnych, o kształceniu robotników i techników, o wydarzeniach kulturalnych, sportowych i patriotycznie wojskowych. To była nasza codzienność.

Nie zauważaliśmy wyjątkowości, ani w skali krajowej, ani nawet wschodnio-europejskiej. Nie zdawaliśmy sobie w pełni sprawy z tego, że obok konkretnych produktów dla rolnictwa oraz innych materiałów o pewnym znaczeniu wojskowo-obronnym, powstają także nowe elementy kultury technologii i zarządzania. Zwiększa się kadra ludzi kompetentnych, powstaje spójność poszczególnych grup społecznych, pojawia się kategoria chłopca-robotnika, rośnie powoli zamożność. Spory i konflikty czy nawet wzajemne zwalczanie się grup o odmiennym standardzie życia lub niezgodnych poglądach politycznych (jeszcze nie wygasły wspomnienia galicyjskiej „rabacji”) traciły uzasadnienie. Zmniejszało się bezrobocie, otwierały się szanse dla młodzieży. Pojęcie Ojczyzna znajdowało nową treść. To odbywało się niemal niespostrzeżenie.

Dla młodzieży świadomość znaczenia tego procesu, tak zręcznie zapoczątkowanego przez rozważnych, wykształconych przywódców, naukowców, inżynierów, chemików – można odważnie powiedzieć specjalistów z wyobraźnią i wizją przyszłości – zrozumienie pozytywnej prognozy dla jednostek i dla społeczności objawiło się nam w całej pełni dopiero wtedy, kiedy tym wartościom zagroziła agresja wrogiego państwa i wojna.

I wówczas – bez patosu – a nawet pomimo nieco historycznej propagandy w rodzaju „Silni-Zwarczi-Gotowi” – ujawniły się spontanicznie owoce kilkunastu lat wspólnego budowania odrodzonej Ojczyzny. Akty patriotyzmu i oporu wobec okupanta stały się codziennym zjawiskiem, były czymś oczywistym. Rzadko notowano objawy oportunistów i kolaboracji z wrogiem. Środowisko było świadome swych obowiązków i gotowe do poświęceń. Wówczas nie było czasu na wahanie się, na rozwlekłe rozważania – to nie były czasy dla sympatyków Hamleta.

Kiedy kilkadziesiąt lat później spotykałem się z dawnymi kolegami z Mościc, którzy zaawansowali na wyższe pozycje w hierarchii zawodowej lub naukowej, wielu zwracało uwagę na to, że wyrastaliśmy w środowisku nasyconym dobrze dobranymi fachowcami, a ponadto ludźmi bardzo oddanymi sprawie rozwoju krajowej gospodarki i jej unowocześnienia.

Niektórzy nieco młodsi, jak np. mój brat urodzony w marcu roku 1939, który nie mógł mieć żadnych wspomnień z tego pierwszego kreatywnego okresu, byli skłonni przypisywać fakty osiągnięcia przez wielu potomków ówczesnych budowniczych PFZA wysokich pozycji w działalności zawodowej, czy w instytucjach naukowych jakiemuś mistycznemu czynnikowi. Jakimś „genius loci”. Taka hipoteza nie wytrzymuje jednak krytyki opartej na faktach

Albowiem czyż w tej Galicji, niezbyt sympatycznie nazwanej przez N. Daviesa, nie powinno się docenić pozytywnych zjawisk i odkryć dokonanych w tym kraju posiadającym wprawdzie pewną autonomię, ale stale aż do roku 1918 pozostającego pod zaborem austriackim? W kraju o zacofanej gospodarce rolniczej, zamieszkałym przez ludność o niewielkich dochodach.

Pomimo tych czynników, a może nawet dzięki bliskości uczelni wiedeńskich, nauka np. na wielu Wydziałach Uniwersytetu Jagiellońskiego rozwijała się dobrze

(zwłaszcza od roku 1870). Kontakty z uczelniami zagranicznymi były żywsze niż np. w pewnym okresie PRL po roku 1949. Wyższa uczelnia techniczna we Lwowie osiągnęła status Politechniki i jej absolwenci przyczynili się później do budowy niepodległego Kraju.

Oto, dla przypomnienia kilka przykładów osiągnięć w Galicji w drugiej połowie XIX wieku.

Skroplenie gazów powietrza przez Karola Olszewskiego (1846-1915) i Zygmunta Wróblewskiego (1845-1888) w laboratorium UJ w Krakowie przez udane zastosowanie tzw. kaskadowej metody skraplania w niskiej temperaturze w kwietniu roku 1883.

Osiągnięcia w dziedzinie fizjologii człowieka przez Napoleona Cybulskiego (1854-1910) np. zapis elektrycznych czynności mózgu oraz serca, współodkrycie adrenaliny.

Prace wybitnego anatoma, patologa i neurologa Alberta Wojciecha Adamkiewicza (1850-1921), a zwłaszcza przetrwałe do dzisiaj znaczenie studiów nad unaczynieniem rdzenia kręgowego i roli tzw. wielkiej tętnicy korzonkowej.

Godne wyróżnienia są przyczynki do rozwoju chirurgii – zwłaszcza żołądka i dwunastnicy – przez Ludwika Rydygiera (1850-1920) w klinikach uniwersyteckich w Krakowie i we Lwowie.

Jeszcze bardziej pouczające były osiągnięcia dokonane w zasadzie poza środowiskiem akademickim. Do nich zaliczyć trzeba destylację ropy i skonstruowanie lampy naftowej przez Ignacego Łukasiewicza (1822-1882), chemika i aptekarza, co stanowiło istotny postęp w stosunku do dawnych lampek oliwnych. Pierwsza naftowa lampa uliczna zaczęła funkcjonować w Gorlicach. Natomiast w dniu 31.07.1853 r. zastosowano oświetlenie lampami naftowymi podczas nagłej, ratującej życie operacji, we Lwowie w Szpitalu na Łyczakowie.

Do niezwykle utalentowanych osób należał Jan Szczepanik (1872-1926), z wykształcenia nauczyciel, ale obdarzony darem dociekliwości i wynalazczości. Warto wspomnieć, że miał trudny start jako nieślubne dziecko rolnika z okolic Krosna. Udało mu się ukończyć szkołę średnią i seminarium nauczycielskie w Krakowie. Jednakże praca dydaktyczna go nie zadowalała, natomiast pociągała go wówczas nowa technologia fotografii. Z pomocą L. Kleinberga, fotografa z Krakowa, założył w Wiedniu firmę „Wynalazki Jana Szczepanika”. Było ich bardzo dużo – około 50 wynalazków i kilkaset opatentowanych usprawnień technicznych, głównie z zakresu przemysłu włókienniczego, barwnej fotografii, a nawet przekazywania obrazów na odległość (zapowiedź telewizji). Dużą popularność uzyskał wynalazek tkaniny kulo odpornej (rzekomo ochroniła ona hiszpańskiego króla Alfonsa XIII podczas zamachu na jego życie). W okresie największych sukcesów pisano o „galicyjskim geniuszu” porównując nawet J. Szczepanika do Edisona. Ostatni okres życia spędził on w Tarnowie.

Tak więc, nie można chyba całkowicie potępiać spekulacji niektórych moich znajomych o roli „specjalnego ducha czasu” w Galicji i w dorzeczu tamtejszych rzek, choć chłodna analiza wskazuje na zbieżność wielu obiektywnych czynników.

Też o wzajemnym oddziaływaniu kreatywnych poczynań w środowisku oraz mocnych intelektualnie osobistości powinno się jednak poddać analizie sięgając także

do przykładów poszczególnych osób. Trudno jest znać całą regionalną populację inteligencji technicznej i naukowców, budowniczych Mościc oraz ich potomków – wszystkich dokładnie cytować, nikogo nie pominąć, nikogo nie skrzywdzić.

O przykładzie praktyka i społecznika w mojej dziedzinie, czyli w medycynie, będzie mowa poniżej, w głównej części niniejszych wspomnień.

Spśród wybitnych naukowców pozwolę sobie jednak wspomnieć mojego kolegę, znakomitego archeologa i historyka o światowej sławie, profesora honorowego U.J. Janusza Kozłowskiego (1936-). Szczególnie badał on okres górnego paleolitu i wczesnego neolitu, czyli świat, kiedy powstawał nasz gatunek (*homo sapiens, sapiens*).

Najwyższy poziom i „globalne” uznanie z pośród dzieci budowniczych Mościc osiągnął bezspornie ks. profesor Michał Heller (1936-), teolog, filozof, matematyk, fizyk stosujący wiedzę tych dyscyplin dla rozwoju kosmologii. Nie miałem sposobności poznać ani usłyszeć tego Tarnowianina, laureata nagrody Templetona, twórcy znakomitej instytucji w Krakowie czyli Centrum Kopernika Badań Interdyscyplinarnych. Znam kilka jego książek cechujących się jasnością traktowania trudnych tematów, odwagą niekonwencjonalnego myślenia i samokrytyczną otwartością.

Nikt z tego kręgu nie dociekałby zapewne mistycznej genezy własnych osiągnięć, ale być może, obok szczególnego daru Istoty Najwyższej, uznano by intensywność bodźców intelektualnych, wysoki poziom etyki zawodowej oraz wzorcowe poczucie odpowiedzialności obywatelskiej, jakie dominowały w pewnym „złotym okresie” w naszym środowisku, za czynniki sprzyjające rozwojowi uzdolnionych jednostek. Te elementy, te przykładowe działania potrzebne w okresie budowy i rozruchu Zakładów, potwierdziły się i wzbogaciły o liczne dowody odwagi i patriotyzmu podczas II wojny światowej.

Ale czyż nie jest to oczywiste, że u źródła tego kombinowanego, wzajemnego wpływu lokalnej społeczności oraz wybitnych jednostek powinno się odnaleźć i honorować twórców powstania tych nowoczesnych Zakładów, osiedla i lokalnego „kręgu kulturowego”?

Było to, według moich spostrzeżeń wzmocnionych przez opinie ich bliskich współpracowników, a także później wielu bardziej wnikliwych oraz odważnych historyków, głównie dwóch ludzi: Ignacy Mościcki (naukowiec, wynalazca, Prezydent RP) oraz Eugeniusz Kwiatkowski (chemik ekonomista, człowiek czynu, minister i vice-Premier, patriota).

Ignacy Mościcki (1867-1946) miał od zarania nader chwalebne curriculum. Urodzony w części Polski pod zaborem rosyjskim działał w młodości pod wpływem patriotyzmu, będąc także bliskim ideom socjalizmu. W następstwie nieudanej próby zamachu na ówczesnego gubernatora w Warszawie wyjechał zagranicę. Studiował najpierw w Rydze, potem w Anglii i wreszcie w Szwajcarii, odznaczając się wybitnymi zdolnościami w naukach ścisłych: matematyce, fizyce i chemii. Wcześniej zaczął identyfikować problemy badawcze na pograniczu elektryczności i chemii. Jeden z pierwszych wynalazków został zarejestrowany w szwajcarskim Urzędzie Patentowym, w którym jednym z ekspertów był wówczas Albert Einstein. Ignacy Mościcki działając wspólnie z profesorem Uniwersytetu we Fryburgu Józefem Wierusz-Kowal-

skim potrafił zastosować swoją metodę syntezy związków azotowych, uzyskując nawet znaczny sukces finansowy kierując np. budową w szwajcarskim Chippis (Kanton Wallis) fabryki kwasu azotowego. Potem został powołany kolejno na kierownictwo Katedr na Uniwersytecie Lwowskim i Warszawskim. Będąc zaznajomiony od czasów zaangażowania politycznego po stronie socjalistów z Józefem Piłsudskim, przyjął jego propozycję kandydowania na stanowisko Prezydenta RP, jako następcy Stanisława Wojciechowskiego, w krytycznym politycznie okresie odrodzonej Polski. Pozostał na tym stanowisku do czasu rozbitcia Kraju na początku wojny we wrześniu roku 1939 i ucieczki władz do Rumunii. O ile okres zaangażowania się na szczycie państwa był wielokrotnie krytykowany zarzutami bierności i nieudolności, to za szczególną zasługę uznano stworzenie największej wówczas nowoczesnej Państwowej Fabryki Związków Azotowych pod Tarnowem. Historia potwierdziła, że koncept budowy fabryki, całego „zielonego” osiedla-parku oraz niezbędnych instytucji szkolnictwa, kultury, sportu i ochrony zdrowia był architektonicznie i ekologicznie bardzo udany. Stwarzał możliwość harmonijnego rozwoju na terenie pierwotnie rolniczych osad jak Dąbrówka Infulacka, Chyszów i Zbylitowska Góra zarówno nowoczesnego przemysłu, jak i społeczności inteligencji technicznej o różnych poziomach. Od dobrze wykształconych robotników i rzemieślników do techników i inżynierów, z których wielu sprawdziło się w późniejszym okresie jako profesorowie wyższych uczelni.

Zasługi Prezydenta Mościckiego były niezaprzeczalne. Nowopowstała gmina nazwana została jego imieniem.

Planowaniem, budową i rozruchem kierował genialny, choć bardzo skromny, człowiek Eugeniusz Kwiatkowski (1888-1974), który przeszedł do pamięci narodowej również jako twórca pierwszego nowego portu po odzyskaniu przez Polskę dostępu do Bałtyku, czyli Gdyni. Następnym jego zadaniem było unowocześnienie i rozbudowa przemysłu chemicznego (Chorzów, Jaworzno, Mościce), a potem tak zwanego Centralnego Okręgu Przemysłowego. Mój ojciec, jako specjalista od nadzoru urządzeń przemysłowych obciążonych utajonym ryzykiem, był jego bliskim współpracownikiem na stanowisku koordynatora.

Już jako mały chłopak w wieku 4-5 lat wiedziałem, jaką rolę spełnia ten wysoki, dostojny, zawsze elegancko ubrany pan. Miałem dla niego respekt, a nawet się go nieco bałem. Nie zapomniałem nigdy małego incydentu, kiedy spotkał nas na głównym chodniku osiedla przyfabrycznego. Przywitał się przyjaźnie z moją matką, a mnie wziął na ręce i podniósł wysoko, wysoko w górę ponad czarny kapelusz na głowie.

Zachowałem w pamięci strzępy jego żartobliwych słów: „A teraz polecimy razem do Warszawy”. W mgnieniu oka, zamienił się – w swoim ciemnym stroju – w mojej wyobraźni z dostojnika w czarodzieja. Wyrwałem się i gestem obrony obrzuciłem go garstką żwiru przed chwilą zebranego na brzegu chodnika. Roześmiał się i strzepując kamyczki z ciemnego palta rzucił na pożegnanie kilka słów w takim sensie: „Widzę, że na wyprawę do stolicy jest chyba jeszcze za wcześnie, ale przyrzekam że zaproszę cię w przyszłości, kiedy się już trochę poduczysz chemii. My teraz budujemy przecież dla następnego pokolenia” – zakończył kłaniając się mojej matce.

Nie kontynuował potem bezpośrednio kierowania „Azotami”, ale jako vice-Premier sterował całością rozwoju gospodarki Kraju do momentu, kiedy dramat

wybuchu II wojny światowej zmusił go do schronienia się w Rumunii. Pozostał internowany aż do końca działań wojennych w Europie.

Zaś nasza rodzina spędziła ten okres w Mościcach w domku na ulicy im E. Kwiatkowskiego nr 7 (osoby zainteresowane znajdą opis tych czasów w odpowiednich rozdziałach mojej książki „Wędrowki pod Znakiem Skorpiona” cytowanej w bibliografii). Nazwa tej uliczki na osiedlu Za Torami przetrwała aż do czasów powojennych, kiedy została zmieniona na ul. Cypriana Norwida.

W takim kreatywnym środowisku powierzono ważną funkcję lekarza Zakładów młodemu doktorowi Stanisławowi Świerczewskiemu (1900-1959). Warto przytoczyć kilka fragmentów z napisanego przez niego w lutym 1947 krótkiego „curriculum vitae” (z zachowaniem ortografii i interpunkcji), dokumentu odnalezionego niedawno w archiwum „Azotów” w Mościcach.

„Ukończyłem w roku 1918 Gimnazjum Polskie i wstąpiłem na wydział lekarski Uniw. w Warszawie. 11 listopada 1918 r. wstąpiłem do Wojska Polskiego, do 2 p. ułanów, a następnie do Wojskowego Szpitala Ujazdowskiego. W marcu 1921 r. uwolniony z W.P. kontynuowałem studia lekarskie, uzyskując w roku 1926 stopień Doktora Medycyny. W r. 1927/8 pracowałem jako wolontariusz na klinice wewn. Uniw. Warszawskiego, od kwietnia 1928 do paźdz. 1933 r. – w Szpitalu Dzieciątka Jezus jako kierownik oddziału Obserwacyjnego”.

W tym miejscu trzeba podkreślić, że student Świerczewski, dał pierwszeństwo obowiązkowi służby wojskowej przed studiami, zgodnie z potrzebą wzmocnienia i bronięcia odradzającej się Ojczyzny!

„Od paźdz. 1933 r. do września 1939 pełniłem obowiązki lekarza higienisty Zjedn. Fabr. Zw. Azotowych w Mościcach; stosunek służbowy rozwiązały wydarzenia wojenne. Od grudnia 1939 r. zajmowałem się praktyką prywatną w Tarnowie a od paźdz. 1940 prowadziłem pracownię Analityczną Ubezpieczalni Społecznej w Tarnowie – do października 1945”.

Zyskał on sobie szybko uznanie jako lekarz medycyny ogólnej oraz znakomity organizator profilaktyki, tak niezbędnej w zakładzie przemysłowym stosującym metody obarczone sporym ryzykiem. Był powszechnie znany i lubiany. Spotykałem go wielokrotnie w okresie przedwojennym, ale jego pacjentem zostałem dopiero podczas przygnębiających czasów wojny. Hitlerowskie Niemcy opanowały znaczną część Europy i wtargnęły głęboko w ZSRR, trwały walki w północnej Afryce, a także Bitwa o Atlantyk, dochodziły do nas wiadomości o śmierci naszych znajomych w obozach koncentracyjnych (Auschwitz, Sachsenhausen), dawał się we znaki niedostatek żywności. Dostarczający nam nielegalnie mięso gospodarz-robotnik, pan Brożek, został złapany z zakazanym towarem i zastrzelony. Szkoła była okresowo zamknięta, a ja jeżdżąc na rowerze po chleb i mleko ciężko się przeziębilem.

Jednakże pod koniec tej mroźnej i śnieżnej zimy roku 1942 zmniejszyły się wreszcie moje napady kaszlu i nieco mniej odpluwałem. Kłujący ból w plecach jednakże nie ustępował. Cieszący się ogromnym autorytetem w naszym środowisku doktor Stanisław dał matce krótkie zalecenie: „Przyjdźcie do mnie do ambulatorium w Tarnowie. Zbadam Ryśka, prześwietle, zobaczymy, jakie są wartości krwi. Zrobimy co trzeba.”

W ciągu tego przedwiośnia przedostanie się z osiedla przyfabrycznego do centrum miasta to była duża wyprawa. Autobusy kursowały nieregularnie i rzadko.

Podróż koleją nosiła w sobie niebezpieczeństwo wpadnięcia w pułapkę częstych, niespodziewanych kontroli policji kolejowej (tzw. Bahnschutz) lub niemieckiej żandarmerii. Wynik zatrzymania z pozornie błahych powodów był nie do przewidzenia, zwłaszcza dla rodziny więźnia obozu koncentracyjnego, mojego ojca.

Zdarzało się, że zdzierano z zatrzymanych ciepłą odzież, kożuchy, buty. Albo zatrzymywano dowód osobisty, czyli tzw. Kenkartę, i nakazywano zgłosić się na posterunku za kilka dni. To były metody zastraszania.

Matka postanowiła, że pójdziemy na piechotę, omijając główną drogę.

Brnęliśmy więc przez godzinę w mieszaninie topniejącego śniegu i błota, dopóki nie dostrzegł nas znajomy gospodarz jadący wozem na targ. Przysiedliśmy się i w ten sposób zdążyliśmy na czas, aby laborantka mogła pobrać ode mnie krew.

Potem doktor Stanisław, ustrojony w fartuch ochronny i ciemne okulary pozwalające przystosować wzrok do prześwietlania chorych w mroku gabinetu rentgenowskiego, wziął mnie za rękę: „Teraz zobaczymy, czego się nabawiłeś, jeżdżąc w zimie na rowerze. Ten aparat wykrywa wszystkie tajemnice i ukrywane zbytki!” – oświadczył napędzając mi strachu. Zastanawiałem się, co mógłby on zobaczyć. Nie miałem, własnym zdaniem, nic na sumieniu. Byłem słaby, głodny, kręciło mi się w głowie.

Wreszcie po obracaniu mnie pod ekranem, kasłaniu, głębokim wdychaniu na zmianę z zatrzymywaniem oddechu doktor zapalił światło i krótko rzucił: „No taaak... Teraz idźcie się napić herbaty, a potem jeszcze raz cię zbadam”. Pożegnał mnie przenikliwym spojrzeniem.

„Ale panie doktorze...” zapytała nieśmiało matka, a on już przepychał się do swojego gabinetu poprzez ciżbę chorych pachnącą ubóstwem tej wojennej zimy.

Kiedy wreszcie przysła na mnie kolej i zostałem osłuchany, opukany, ugnieciony i oglądnięty od gardła i uszu do stóp oraz na końcu przyjaźnie pogłaskany po głowie padło jeszcze raz tajemnicze:

„No taaak...” – mówił do siebie doktor i przez moment studiował wyniki, jakie położyła mu na biurku blada, szczupła laborantka.

Zamarliśmy z matką przez chwilę oczekując orzeczenia, jakie mogło stać się wyrokiem. Najbardziej obawialiśmy się wówczas wszyscy gruźlicy.

„No taaak” – znowu powoli mruzczał doktor jakby ważąc słowa i nabierając rozpędu przed ogłoszeniem rezultatów.

„A więc nie jesteś na razie zbyt atletyczny” – zaczął, a potem zwracając się do matki ciągnął przyspieszając: „ale wzrost i waga w normie dla jego 12 roku życia, płuca czyste, żadnych wysięków nie stwierdzam, krew – tu zawahał się i crescendo zakończył podnosząc głos – „jak u najzdrowszego chłopaka pod słońcem!”.

Te ostatnie słowa zapadły mi w pamięci na wiele, wiele lat.

„Niech go pani odżywia tak, jak to jest teraz możliwe. Macie mleko od zdrowej krowy? Teraz robić sałatkę ziemniaczaną z cebulką, a potem, na wiosnę, niech je dużo warzyw i owoców. Lubisz jajecznicę z boczkiem i szczypiorkiem?” – zwrócił się znowu do mnie.

„Lubię...” – wyszeptalem, uradowany, ale nieco oszołomiony przebiegiem całego tego badania. „Lubię też kozie mleko” – dodałem wzbudzając uśmiech doktora.

„Za kilka dni otrzymam jeszcze wyniki badań bakteriologicznych – teraz zapisuję coś na wzmocnienie oraz syrop. Zabraniam ci kaszleć!” – zakończył nakazująco.

Do domu wracaliśmy w nieco lepszym nastroju, nie bacząc na to, że buty mi całkiem przemokły i stopy marzły.

Brodząc w roztopach i omijając większe kałuże rozmyślałem, jak wielką wiedzę musi posiadać lekarz i jakie trudne decyzje musi podejmować.

Doktor Stanisław robił to w sposób stanowczy, jasny i wzbudzający bezgraniczne zaufanie u pacjentów. Był z tego znany w środowisku inżynierów oraz techników i ich rodzin. Z wieloma osobami przyjaźnił się blisko – nazywano go potocznie „Świerk” – ale w sprawach zdrowia i choroby kierował się tylko własnym doświadczeniem i podejmował bez długich dyskusji pragmatyczne rozstrzygnięcia.

Kiedy kierował na pacjenta ostre spojrzenie spod krzaczastych brwi i powoli, dobitnie, krótkimi zdaniem formułował zalecenia lub opinie, zaledwie o jeden ton podnosząc głęboki baryton swego głosu, to trudno było mu się sprzeciwić.

Wobec niedowiarków lub oponentów umiał jednakże zastosować, albo porzekadła ludowej mądrości, albo, w razie potrzeby, uproszczone argumenty oparte na wiedzy medycznej.

Czasami odwiedzał nas przy okazji uroczystości rodzinnych lub świąt i słyszałem wielokrotnie jego wypowiedzi w sprawach bieżących wydarzeń politycznych w kraju lub w ogóle na świecie.

Dostrzegałem w nich nieco sceptycyzmu, a nawet drwiny, czym różnił się od rzeczowych wypowiedzi oraz powściągliwych opinii moich rodziców i większości znajomych z kręgów inteligencji technicznej. W dowcipkowaniu przewyższał go tylko bardzo popularny i cieszący się również dużym autorytetem w środowisku przedwojennych Mościc inżynier zwany powszechnie jako Pan Lolek (Huelle). Z niewielkiego zderzenia się nowego samochodu kierowanego przez doktora z wozem transportującym bańki z mlekiem wymyślił powiedzonko które przyległo do kierowcy: „mercedes bęc do mleka!”.

Doktor Stanisław był nader niezależny duchem. Ponadto, mimo że niezbyt rośły, był uznawany za przystojnego i cieszył się zainteresowaniem pań. Postanowił jednak pozostawać w „stanie wolnym”.

Dobrze rozumiał swoją rolę jako lekarza w dużym zakładzie przemysłowym. Łączył obowiązki lekarza fabrycznego i jednocześnie rodzinnego, przynajmniej dla pewnej części osób ubezpieczonych w miejscowej Kasie Chorych.

Cechował się także, jeszcze niezbyt wówczas rozpowszechnionym, staraniem o zdrowie robotników i techników zatrudnionych w bezpośrednim kontakcie z trującymi substancjami chemicznymi i ich wyziewami. Wprowadził okresowe badania kontrolne oraz szczegółowe sposoby ochrony zdrowia dla osób narażonych na ryzyko. Znane były jego pogadanki o zapobieganiu wypadkom oraz pouczające, jak trzeba się zachować po skażeniu skóry lub oczu, albo po wdychaniu toksycznych gazów. Wprowadził program dożywiania pracowników oraz leczenie sanatoryjne, zwłaszcza w przypadkach schorzeń dróg oddechowych. Założył oddział PCK obejmujący całą załogę, a więc jeden z największych w całym kraju.

Czy wiedział o zatruwaniu powietrza przez żółtawe dymki, będące mieszaniną tlenków azotu, jakie snuły się pasmami z kilku niezbyt wysokich kominów fabrycz-

nych? Czy zauważył wzrastając niepostrzeżenie częstotliwość chorób nowotworowych wśród okolicznej ludności? Czy zastanawiał się nad skażaniem środowiska przez działalność fabryki chemicznej i ubocznych skutków stosowania nawozów sztucznych? Czy było to tematem jego rozmów z pionierami nowoczesnej chemii i zespołem planującym rozbudowę zakładów?

Mało kto interesował się wówczas – w okresie międzywojennego 20-lecia – wtórnymi skutkami postępu technologicznego. Tego tematu nie zauważyłem ani jako uczeń szkoły podstawowej, ani jako ciekawski świadek częstych rozmów prywatnych w środowisku chemików i inżynierów.

Natomiast zauważyłem, jak wielu z tych budowniczych wspaniałych zakładów azotowych puszczało kłęby dymu papierosowego, a czasami nawet z cygar. Rodzice nie palili, ale w domu zawsze znajdowały się papierosy czekające w brunatnym pudełku na stoliku w tzw. biurze ojca na gości-palaczy.

Na odległość zapach dymu tytoniowego odbierałem jako część nieodzowną świata dorosłych, wspaniałych mężczyzn, jako atrybut momentów uroczystych, poświęconych pogodnemu wypoczynkowi lub towarzyszący zabawom towarzyskim jak np. gra w brydża.

Jako chłopiec nie znosiłem bezpośredniego kontaktu z dymem papierosowym. Stało się to raz powodem nieprzyjemnego incydentu podczas obiadu w pensjonacie w Rymanowie, gdzie rodziny pracowników zakładów mogły skromnym kosztem spędzać wakacje.

Siedzący naprzeciwko mnie pan inżynier Antoni zaczął podczas deseru wypuszczać, zapewne nieświadomie, kłęby dymu wprost na mnie. Zareagowałem odruchowo, bez zastanowienia dmuchając kilkakrotnie „z pełnych płuc” ten dym z powrotem w twarz pana inżyniera. Zaskoczony próbował uśmiechem zneutralizować to zajście, jakie ja spontanicznie uznałem za uzasadnioną samoobronę, choć mogło to być także uważane za taką zabawę jak dmuchanie na banki mydlane.

Moi rodzice, niefortunnie, zinterpretowali to jako nieuprzejmy wybryk z mojej strony. Zostałem ukarany natychmiastowym nakazem opuszczenia stołu. Moją sytuację pogorszyłem jeszcze odmawiając przeproszenia pana Antoniego. Byłem głęboko przekonany, że to on zachował się niewłaściwie wydechując dym wprost na mnie, na 5-letnie dziecko. To ja byłem stroną słabą. To on był „agresorem”. Nie pomogły żadne nalegania i groźby. Wybaczyłem z biegiem czasu wszystkim ten, pozornie drobny, błąd pedagogiczny, ale go nie zapominałem i w ciągu dalszego życia tylko utrwaliłem się w przekonaniu iż wówczas miałem rację.

Doktor Stanisław palił, jak zapamiętałem, okazyjnie nie intensywnie ani nałogowo, ale przebywał często w towarzystwie palaczy. Nieco później dowiedziałem się jednak, że pod koniec okupacji hitlerowskiej pod wpływem stresu zużywał nawet 2 paczki papierosów dziennie. Był bowiem mocno zaangażowany w Armii Krajowej (pseudonim „Głowacki”) regionu Tarnowa.

Nad skutkami „czynnego i pasywnego tabagizmu” zaczęto się zastanawiać jednakże dopiero kilkadziesiąt lat później.

Na razie odwiedził nas „Świerk” około tygodnia po badaniach w ambulatorium, wywiadził się o kłucia i kaszel – te objawy złagodniały – zbadał mnie pobieżnie

i wydawał się być zadowolony z mojego stopniowego powrotu do zdrowia. „Prątków gruźlicy nie wykryliśmy” – zakończył wizytę.

„Ale jak wyjaśnić stany podgorączkowe. Stale jeszcze odczytuję 37.2-37.5°C?” – zapytała sumienna, jak zawsze, matka.

„Hmm...” – zastanowił się doktor, po czym powoli skandując zalecił: „Proszę nadal obserwować apetyt, chęć do zabawy i nauki, ewentualne skargi lub dolegliwości. Temperaturę może pani mierzyć jeszcze przez kilka dni wieczorem. Rysiek wygląda dobrze. Jeżeli nie wystąpią nowe objawy, ogólnie mówiąc jakiegokolwiek zauważalne pogorszenie, to zaprzestać systematycznego mierzenia. Niech sobie pani wyobrazi, że termometr upadł na podłogę i się rozbił!” – zakończył nieco podnosząc głos.

Bardzo mi tym zaimponował i wzmocnił zaufanie. Charakteryzowały go zarówno pewność oraz celowość zaleceń jak również duże doświadczenie w najczęstszych chorobach lub wypadkach, zarówno u dorosłych jak i u dzieci. W ten sposób spełniał rolę lekarza rodzinnego, łącznie z pediatrią.

Zastąpił więc w Tarnowie równie cenionego lekarza, będącego uznanym lekarzem wojskowym, ale jednocześnie specjalistą chorób dziecięcych, doktora Stanisława Gozdzińskiego (1886-1940). On także imponował, zarówno małym pacjentom jak ich rodzicom, otaczając go aurą pułkownika w sztabie dowództwa Wojska Polskiego podczas wojen w latach 1919-20. Mnie wyleczył zręcznie i niemal bezboleśnie opróżniając jednym nacięciem ropień powstały wokół ciała obcego w prawej ręce.

Trochę się zawsze bałem, kiedy dzwonił mi się z matką do drzwi jego gabinetu w okazałej kamienicy na placu Kazimierza Wielkiego w Tarnowie przy wejściu do tzw. Pasażu Tertila. Doktor Gozdziński był bowiem zięciem byłego znakomitego burmistrza tego miasta Tadeusza Tertila i zajmował połowę piętra w rodzinnym budynku.

Oczekiwaliśmy zwykle z pewnym napięciem, kiedy ukaże się jego zwalista postać. Kilkoma przyjaznymi słowami i zawsze jakimś miłym gestem uspokajał mnie i zdobywał bezgraniczne zaufanie. Tak było również w momencie kiedy trzeba było zdecydować, jak postąpić, kiedy w 4 roku życia przypadkowo połknąłem niewielki gwoździć.

Wyraził opinię, że gwoździć zapewne powędruje przez jelita główką na dół w kierunku odbytu i opuści mnie drogą naturalną. Nie chciał jednakże brać na siebie żadnego ryzyka, gdyż sprawa mogła się również potoczyć mniej korzystnie. Skierował nas więc do Kliniki w Krakowie, gdzie specjalista chirurg dziecięcy mógłby interweniować. Taka potrzeba jednak nie zaistniała. Prognoza przebiegu okazała się słuszna. Wzrosło nasze uznanie i zaufanie do dr Gozdzińskiego.

Niestety, mój znakomity doktor wyruszył wraz z tarnowskim 16 pułkiem piechoty na wojnę we wrześniu roku 1939 i nigdy z niej nie powrócił. Jego nazwisko odnaleziono jednak z biegiem czasu na liście oficerów, jeńców Armii Sowieckiej zamordowanych w Katyniu w roku 1940.

Natomiast w Mościcach doktor „Świerk”, wraz z doktorem Kazimierzem Myśliwym (1880-1944) czuwał nad zdrowiem naszej rodziny do końca wojny, choć widywaliśmy go dosyć rzadko. Pod koniec zimy w roku 1945 został powołany do odrodzonego Wojska Polskiego. „W lutym 1945 zostałem powołany do Wojska Polskiego jako lekarz R.K.U. (rejonowej komendy uzupełnień), w październiku tegoż roku przydzie-

lony do Min. Obrony Narodowej jako Zastępca Szefa Wydziału Epidemiologicznego Dep. Służby Zdrowia. Po uwolnieniu z wojska... zgłosiłem się do pracy w PFZA... objąwszy jednocześnie rejon Ubezp. Społecznej w Mościcach”

Jednakże nie wrócił na stałe do pracy w Mościcach. Należał do starej przedwojennej kadry oraz do konspiracyjnego ruchu oporu podczas minionej wojny. To było niezbyt miłe nowej dyrekcji zakładów azotowych i z biegiem czasu nowej władzy (prześladowano byłych członków A.K.). Przeprowadził się więc wraz ze znajomymi (Georgiadesowie, Huelle) do Szczecina, gdzie odbudowywano miasto, przemysł, szpitale. Fachowcy byli wysoce cenieni – rozpoczynali, na tych odzyskanych ziemiach, nowy okres życia.

Odwiedziłem tam dwukrotnie mego przyjaciela Jerzego (Georgiadesa), którego doktor Stanisław wprowadzał wówczas w tajniki pracy w laboratorium medycznym. Zobaczyłem go w nowej roli jako organizatora odbudowywanej służby zdrowia oraz uczelni i badacza w Państwowym Zakładzie Higieny. Cieszył się, że dobrze się rozwijałem po chorobie i niedożywieniu w okresie wojny. Starał się wzbudzić moje zainteresowanie chemią kliniczną i bakteriologią oraz ogólnie nauką.

Instruował Jerzego i mnie, jak barwić preparaty, jak odróżniać i liczyć ciała krwi, rozpoznawać najczęstsze rodzaje mikrobów. Cierpliwie wyjaśniał, jakie znaczenia mają wyniki takich badań dla medycyny, a zwłaszcza dla rozpoznawania chorób zakaźnych. Byliśmy dumni, że nauczyliśmy się wykrywać przyczynę kiły – krętki blade!

Jerzy „Grek” był już zdecydowany studiować medycynę. Ja zaczynałem się zastanawiać, czy ten zawód, pozornie neutralny, ale potrzebny zarówno w czasach wojny jak i pokoju, jest wyzwaniem jakiego mógłbym się podjąć mimo mojego dosyć wąskiego zdrowia.

Dopiero z upływem czasu zdałem sobie sprawę z tego, jak przykład doktora Stanisława wpłynął na moją decyzję. Wzmocniła się ona potem także przez doświadczenia praktykanta-sanitariusza Krakowskiego Pogotowia Ratunkowego. Miałem później wielu znakomitych mentorów (profesorowie L. Tochowicz, J. Blicharski, S. Spettowa, A. Kunicki, dr. A. Surdacki), ale pierwszym wzorcem praktyka o nienaganej zdolności rozumowania i postępowania z pacjentami pozostał dla mnie na zawsze dr. Świerczewski.

Nasze drogi rozeszły się na wiele lat. Doktor Stanisław praktykował i nauczał w Szczecinie, porzucił stan kawalerski.

Mój kolega Jerzy studiował oraz zaczynał karierę badacza w mikrobiologii na uczelni w Gdańsku. Ja zaś po studiach specjalizowałem się w Krakowie i częściowo w Gdańsku w diagnostyce obrazowej i w naukach neurologicznych. Pracowaliśmy w odrębnych dziedzinach, ale okoliczności oraz wymiana asystentów stwarzały sposobność do okresowych kontaktów z „Grekami”. Gościliśmy się wzajemnie wielokrotnie podczas stażów specjalizacyjnych.

Podczas dłuższego pobytu Jerzego w Krakowie pod koniec lat 1950-tych dotarła do nas wiadomość o chorobie, tak przez nas cenionego doktora Stanisława. Przebył on rzekomo ciężkie zapalenie płuc i miał przyjechać na dłuższą kurację w jednym z sanatoriów w Zakopanem. Odnaleźliśmy go, ale rozmowa telefoniczna wzbudziła niepokój. Duży naciek w płucu był rzekomo dziwnie oporny na ówczesnie dostępne

leczenie. Dał nam do zrozumienia, że możemy go jednak odwiedzić – nie uznawano go za możliwe źródło zakażenia.

Ewa, starsza siostra Jerzego, również znająca dobrze doktora i dysponująca wówczas samochodem służbowym, zawiozła nas do sanatorium. Zastaliśmy naszego doktora i przyjaciela mało zmienionego, mimo upływu lat, ale nieco mniej kategorycznie, mniej przekonywująco wyrażającego się na temat własnej choroby, niż czynił to dawniej w rozmowach z nami, jego byłymi pacjentami.

„Chcesz zobaczyć rentgenogramy moich płuc?” – zapytał mnie, początkującego radiologa. „Chętnie obejrzę zdjęcia i wysłucham jak Pan je interpretuje. Ja jestem jeszcze niezbyt doświadczonego specjalistą” – powiedziałem skromnie, choć odbyłem już dogłębne szkolenie w diagnostyce chorób klatki piersiowej w Klinikach w Krakowie i w Gdańsku.

Oglądałem serię kolejnych zdjęć tzw. przeglądowych oraz tomograficznych i starałem się ukryć narastające przekonanie o istotnej przyczynie tego „nacieku”. Okrągły cień, wielkości cytryny, o poszarpanym nieco zarysie, zapaść jednego z segmentów płata dolnego, kilka powiększonych węzłów chłonnych we wnętrzu... Niewielki, ledwo dostrzegalny krągły cień w pobliżu wnęki płuca po przeciwnej stronie.

„No taaak” – pomyślałem w duchu. Nie znałem wyników innych badań, jakie zapewne zrobiono. Nie wiedziałem, co dokładnie powiedziano doktorowi. Co on sam widział? W co sam uwierzył? Albo w co chciałby, ze wszystkich sił, wierzyć?

Przypuszczałem, że nie oczekiwał ode mnie ani potwierdzenia, ani kwestionowania aktualnej hipotezy diagnostycznej. Nie zamierzał też zapewne testować mojej znajomości takich obrazów radiologicznych, jakie u niego wykryto, ani zdolności formułowania wniosków.

„Całe to ćwiczenie ma niewielki sens” – myślałem wydłużając nieco przeglądanie rentgenogramów. Nie byłem zobowiązany do prawdomówności, do możliwego wyjaśniania kłujących oczy obrazów prawdopodobnie niekorzystnymi wnioskami. Ani nawet do zagłębiania się w rozważania, w rodzaju tzw. diagnostyki różnicującej lub prób oceniania złośliwości patologii, jaka leżała u podstaw zmian wykrytych radiologicznie. Szczególnie wobec człowieka, którego wielce szanowałem, ba, uwielbiałem jako dziecko i jako student.

Postanowiłem wypowiedzieć się jak najmniej dramatycznie i spokojnie pozostać w kręgu hipotezy „nacieku”.

„No tak” – wyraziłem się powściągliwie – „rzeczywiście naciek jest dosyć rozległy, nie zwiększył się w ciągu ostatnich tygodni” – ciągnąłem – „ale jest oporny, jak słyszę, na dotychczasowe leczenie antybiotykami. Trzeba jednak być cierpliwym i ufać tutaj szanownemu kolegom specjalistom, którzy mają ogromne doświadczenie.”

„Jest to zmiana w istocie oporna na farmakoterapię” – potwierdził doktor. „Ale ja nie mam teraz prawie żadnych objawów... A poza tym zgodzisz się zapewne, że można by rozważyć usunięcie tego ogniska drogą chirurgiczną” – zaskoczył mnie nieco swoją otwartością.

„Nie mam w takich sprawach zbyt dużego doświadczenia, ale przyznaję, że zmiana (już nie odważyłem się powracać do określenia „naciek”) dotyczy segmentu podstawy płata dolnego i mogła być dostępna dla wprawnego torakochirurga”.

„Zdaję sobie z tego sprawę. Zobaczymy co zaproponują tutejsi specjaliści. Dziękuję.” – zakończył spokojnym, pewnym głosem.

Ja zaś myślałem o tym, czego nauczyłem się w Gdańsku od profesorów Grabowskiego (radiologia) i Kieturakisa (chirurgia) oraz, co widziałem podczas porannych przeglądów zdjęć.

Najchętniej pokazałbym te zdjęcia koledze ze studiów Staszewi (Mlekołajowi), Góralowi z Rabki, który w innym zakopiańskim sanatorium wyrastał na znakomitego krajowego torakochirurga, co potwierdziła jego dalsza kariera. Przypuszczałem, że doszlibyśmy do podobnych wniosków, z tą jednak różnicą, że on mógłby lepiej ocenić celowość i szanse leczenia.

Wizytę zakończyliśmy wspomnieniami o dawnych czasach i wzajemnej wymianie wiadomości o naszych rodzinach i znajomych. Rozstaliśmy się przyjaźnie życząc sobie pomyślnej przyszłości.

Podczas jazdy powrotnej milczeliśmy w zadumaniu. Każdy na swój sposób analizował poznaną sytuację.

Jednakże kiedy szliśmy w kierunku naszego mieszkania na ul. Szlak w Krakowie Jerzy zatrzymał się i patrząc mi uważnie w oczy zapytał: „pamiętasz zdjęcia pacjentów z rakiem płuca jakie przedstawialiśmy wraz z nieocenionym docentem Zielińskim podczas porannych raportów w Zakładzie Radiologii w Gdańsku?”.

„Oczywiście, że pamiętam. Były to pierwsze wasze próby stosowania interferonu w przypadkach raka oskrzeli w zaawansowanym stadium, nawet z przerzutami”.

„I te przypadki wskazywały na skuteczność kombinacji radioterapii i interferonu!” – wykrzyknął Jerzy, jak zwykle entuzjastycznie interpretujący rezultaty eksperymentów terapeutycznych w małej serii, wyselekcjonowanych pacjentów.

Wolałem milczeć. Była to niewielka grupa chorych. Nie można było być pewnym, co decydowało o nieco dłuższym czasie przeżycia, albo o przejściowej poprawie ich stanu. To były niezbyt systematyczne obserwacje, dalekie od znamienności statystycznej. Fakty zapewne przykre dla natchnionych badaczy, pełnych dobrej woli, ale nie mogących na razie sprostać rygorystycznym wymaganiom dopiero rozwijającej się dyscypliny epidemiologii klinicznej.

„Chciałbyś zalecić taką terapię naszemu doktorowi?” – zapytałem. „Przecież nie wiemy nawet na co wskazują np. wyniki bronchoskopii? My wiemy bardzo mało; być może pacjent wie i rozumie znacznie więcej” – ciągnąłem. „On nie wymienił wprost możliwości zmiany nowotworowej. Nie padło słowo rak płuca! Musimy szanować jego osobowość i jego wolność wyboru opiekujących się nim lekarzy oraz uznawania ich opinii”.

„Nawet jeżeli oni, być może, nie znają najnowocześniejszych metod diagnostyki i leczenia?” – oponował łagodnie Jerzy.

„Tak sadzę. Zwłaszcza, że my nie mamy ani dowodów na skuteczność tej, jednej z eksperymentalnych metod, ani żadnego uprawnienia do podejmowania w tym szczególnym przypadku jakichkolwiek decyzji. Sprawa jest, w moim przekonaniu poważna, ale nie powinniśmy zakłócać zaufania Stanisława do jego lekarzy!” – zakończyłem nieco ostrzejszym akcentem.

„Nawet jeżeli nasza bierność mogłaby go pozbawić szansy uzdrowienia, lub co przynajmniej przedłużenia życia?” – nacierał Jerzy.

„Ja życzę mu jak najlepiej, ale pozostaję powściągliwy wobec tej propozycji. Jeżeli jesteś szczerze przekonany, to możesz próbować ostrożnie porozumieć się z rodziną Stanisława, albo z głównym lekarzem kierującym jego sprawą”.

„Zastanowię się” – odparł chłodno.

„A najlepiej porozmawiaj zaraz najpierw z twoją siostrą Ewą, a potem telefonicznie z twoim mentorem onkologiem, docentem w Gdańsku” – dorzuciłem bez ogródek.

Nigdy nic więcej o takich konsultacjach nie usłyszałem.

Natomiast kilka tygodni później moi rodzice oraz, jak się okazało, niektórzy inni znajomi doktora Stanisława Świerczewskiego, otrzymali od niego odręcznie napisany, jednostronicowy, ciepły, wzruszający list. „Lettre d’adieu czyli pożegnanie” – orzekła smutno moja matka.

Pożegnał się tak jak żył: odważnie, przyjaźnie, świadomy swych obowiązków i przeznaczenia.

Chyląc głowę ku Jego pamięci myślałem o tym, jak podobny był doktor Stanisław w tej reakcji na rozpoznanie u niego nowotworu oraz w godności wobec nieuchronnego losu, do jednego ze znakomitych filozofów XX wieku, Ludwika Wittgensteina. Po wiadomieniu o rozpoznaniu nieuleczalnego raka przewodu pokarmowego podobno odpowiedział on – wówczas profesor Uniwersytetu w Cambridge – krótko: „Good”. To miało oznaczać: „przyjmuję taki wyrok”. Zastrzegł się tylko, że nie chciałby umierać w szpitalu, ale w domu w otoczeniu przyjaznych mu osób. Pracował bowiem podczas II wojny światowej jakiś czas jako ochotnik-sanitariusz i na zawsze pozostał pod wrażeniem dramatycznych doznań. Prośba została spełniona.

Wiele, wiele lat później, kiedy po okresie intensywnej działalności zawodowej najpierw w rodzinnym Kraju, a potem zagranicą, doszedłem do okresu rozważań, spoglądania wstecz, samooceny, doradzania innym jako ekspert i wreszcie porządkowania moich notatek, mogłem jeszcze lepiej ocenić jak „model” doktora Stanisława wpłynął na moje curriculum. A także, ile zawdzięczałem wpływowi znakomitych osobistości, współtwórców Polski międzywojennej.

Głównego „bohatera” budowania przemysłu i kreowania zjawiska „Mościce” Eugeniusza Kwiatkowskiego widziałem po wojnie tylko 2-3 razy i zawsze bardzo krótko. Niemal przypadkowo, gdyż mieszkał w Krakowie w wyróżniającym się budynku przy Alei im. J. Słowackiego pierwotnie przeznaczonym dla profesorów wyższych uczelni, w którym mieszkali moi znajomi i koledzy. Podziwiałem jedną z jego książek nt. geografii gospodarczej świata, jaką napisał w okresie, kiedy ówczesne władze nie tylko zrezygnowały z jego wiedzy, ale nawet w pewnym okresie zabroniły mu odwiedzania Wybrzeża i stolicy. Poznałem natomiast obydwie jego córki: artystkę i lekarkę (patrz także wspomnienia w mojej książce „Wędrowki...”). Zmarł w roku, kiedy objąłem już stanowisko w mojej przybranej ojczyźnie.

Tamże, w Versoix koło Genewy, odwiedziłem natomiast miejsce spoczynku prezidenta Ignacego Mościckiego zmarłego na emigracji w roku 1946. „Jakże szybko toczą się koła historii” – pomyślałem wówczas. Nazwa miejscowości i przystanku kolejowego „Mościce” została w pewnym okresie PRL zastąpiona przez „Tarnów Zachodni” (potem powróciła jako nazwa jednej z dzielnic Tarnowa). Były prezydent utracił „swoją gminę”, a ja nazwę mojego miejsca urodzenia.

Mojego pierwszego mentora doktora Stanisława nigdy nie zapomniałem, choć 80 lat po opisanym okresie „Mościckim” nie łatwo było odnaleźć odnośne dokumenty. Chochlik historii sprawia, że w niektórych urzędach stanu cywilnego (np. w archiwach Szczecin-Golecino) nie można było znaleźć żadnego zapisu. Natomiast dwa inne źródła (z Tarnowa) podają różnie rok jego zgonu. Niech będzie to dla nas lekcja skromności i wskazówką, jak relatywna może być wartość zapisów traktowanych jako historyczne. Przez wykluczenie innej możliwości uznałem za właściwy rok 1959 (poszukiwania dalszych danych będą kontynuowane).

Najistotniejsze pozostaje bezsprzecznie doświadczenie, że kompetencja, odwaga i wysoki poziom etyki zawodowej są to cechy nieodzowne w codziennych kontaktach lekarz – pacjent. Nabierają one jeszcze większego, ponadczasowego znaczenia jeżeli posłużyły jako wzór i kierunkowskaz dla kolejnego pokolenia lekarzy. Świadkowie dawnych czasów odchodzą, przemijają, ale ci którzy znali doktora Świerczewskiego zapisali Go głęboko w swoich sercach, w pamięci i w notatkach.

Wybrane źródła informacji (publikacje i kontakty osobiste)

Brożek-Czekańska B., Prezes Towarzystwa Przyjaciół Mościc – kontakty via e-mail i dokumenty z archiwum „Azotów”, wrzesień 2014 – czerwiec 2015 www.moscicetpm.org

Chodan J. (Inżynier, Tarnowianin, patriota) i Krzanowski M. (lekarz, były dyrektor ZOZ w Cieszynie, b. Senator RP, Tarnowianin): liczne kontakty via e-mail i przekazanie znalezionej w Tarnowie dokumentacji wiosną 2015.

Cranovsky R., *Wędrowki pod Znakiem Skorpiona*. „Medycyna Praktyczna”. Kraków 2013.

Chrzanowski R., *Notatnik Sceptyka*. SowaDruk, Warszawa www.wydacksiazke.pl 2014, s. 11-22.

Georgiades J.A. MD, PhD, lekarz, mikrobiolog, naukowiec, Houston, USA – liczne kontakty telefoniczne i komentarze przez e-mail w latach 2012-2014.

Kiryk F., *Tarnów. Dzieje Miasta i Regionu*, t. III. Krajowa Agencja Wydawnicza 1983, s. 718-720.

Kubińska-Szymanowska Z., *Stanisław Świerczewski. Lekarz i Społecznik Ziemi Tarnowskiej*, notatka, s. 5, Tarnów 1968.

Maniak H.J., *Dzieje Lecznictwa w Tarnowie*. Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Tarnowskiej & Akademia Medyczna w Krakowie 1988, s. 109.

Niedojadło A. (red. nac.) *Encyklopedia Tarnowa*. Tarnowskie Towarzystwo Kulturalne 2010.

Wikipedia: Ignacy Mościcki, profesor, Prezydent II RP. Wyświetlono 01. 05. 2015.

Wikipedia: Eugeniusz Kwiatkowski, chemik, ekonomista, minister i vice-premier II RP. Wyświetlono 02.05.2015.

Wikipedia: Stanisław Nikodem Gozdziwski, lekarz, pułkownik, Tarnów. Wyświetlono 04.05.2015.